

# Bez grosza w New Yorku

Jak amerykański malarz wygrał zakład

Znany amerykański artysta-malarz Frank Haas założył się ze swoimi przyjaciółmi, że da sobie radę i przeżyje w New Yorku miesiąc nie posiadając ani jednego centa w kieszeni. Zakład był niewielki, gdyż chodziło tylko o sumę 100 dolarów, niemniej jednak ciekawe było, jak można było sobie dać radę w tak olbrzymim mieście, nie posiadając grosza. Dn. 1 czerwca Frank Haas miał rozpocząć swoje życie bezdomności włości. Tegoż dnia w obecności swoich kolegów przebrał się w wypożyczone odzież, składające się z welwetowych spodni robotniczych, podartych butów, oliwkowej płóciennej koszuli i zniszczonej czapki, którą zawadliwie włożył na bakier. Frank Haas wsunął ręce do pustych kieszeni, w których nie było ani centa.

Tak więc słynny malarz rozpoczął swoje życie włości. Wrażenia swoje i przeżycia po ukończeniu wędrowki opublikował. Jak się okazuje, nawet w takim wielkim mieście, jak New York, może sobie człowiek bez pieniędzy poradzić i jako tako przeżyć przez miesiąc.

Przedewszystkiem więc od razu pierwszego dnia, kiedy tylko nasz malarz poczuł głód, udał się o przedziej do stacji Armii Zbawienia, gdzie otrzymał obiad. Następnie udał się w poszukiwaniu chociaż paru groszy na zapłacenie noclegu. Nie jest to tak łatwo zdobyć w ciągu paru godzin chociaż jednego centa.

**JAK SIĘ ZDOBYWA 5 CENTÓW?**

Wędruje po mieście Frank Haas szukał jakiegokolwiek sposobu,

któryby dał mu możliwość uzyskania choćby najmniejszej sumy. Nie było to zbyt łatwe. O zarobku nie było mowy. Ale przystając przy automatach telefonicznych zauważył, że niektórzy z telefonujących są bardzo zdenerwowani i spieszą się i wobec tego istnieje prawdopodobieństwo, że poszukując drobnych w portmonetkach, mogą czasem upuścić jakiś grosz na ziemię i nie zauważyć tego. Wobec tego postanowił poświecić się zajęciu śledzenia telefonujących i po paru godzinach oczekiwania i czuwania oraz asystowania przy przesłaniu połączeniach telefonicznych, udało mu się znaleźć w budce telefonicznej po ukończeniu rozmowy przez pewnego pana, monetę niklową 5-centową, którą widocznie rozłargniony jegośność wyrzucił niechcący z portmonetki. To był cały „zarobek” pierwszego dnia spędzonego przez Franka Haasa w N. Yorku. Chcąc zaoszczędzić z takim trudem zdobytą sumę, postanowił nie wydawać jej na nocleg, lecz zachować na dzień następny, jako żelazny kapitał. Wobec tego udał się do parku publicznego i tam ułożył się na ławce, chcąc w ten sposób bezpłatnie spędzić noc. Z marzeń cennych wyrwało go uderzenie gumową pałką. Nad nim stał policjant, który oświadczył, że spanie na ławkach jest surowo wzbronione. Wobec tego Frank Haas zaszły się w głąb parku i tam usnął prosto na ziemi pod rozłożystym rododendronem.

**JAK SIĘ ZARABIA 25 CENTÓW?**

Zasypiając, układał sobie plan

na dzień następny. Skoro świt miał się udać na stację kolejki podziemnej i tam zająć się sprzedażą gazet. Już o godz. 5-ej rano dźwigał wielką pakę dzienników i rozprzedawał je do godziny 8-ej, zarabiając w ten sposób sumę 25 centów. Był to zarobek dosyć poważny, chociaż sprzedawał na terytorium, które właściwie było okupowane przez całą bandę sprdawców. Tego dnia spożył obiad znów za darmo w kuchni misyjnej, gdzie szczęśliwym trafem udało mu się zdobyć pracę.

**JAK SIĘ ZARABIA 50 CENTÓW?**

W tejsze więc misji dobroczynnej otrzymał akurat telefonicznie zapotrzebowanie na sześciu silnych ludzi, do przeniesienia fortepianu. Jednym z tych sześciu szczęśliwców był właśnie malarz Frank Haas. Za pracę tę otrzymał honorarium w wysokości 50 centów. Podczas przenoszenia fortepianu, zapoznał się z jednym ze swoich współtowarzyszy pracy, który obiecał mu wskazać niedrogi nocleg. Skorzystał więc z zaoferowanej pomocy i udał się do owego hotelu nędzarzy, gdzie miejsce na pryczę kosztowało 3 centy. Tam oczywiście pełno już było nieszczęśliwych bezdomnych, którzy za tę minimalną cenę otrzymywali na jedną noc dach nad głową.

**ZWIEKSZONE ZAROBKI**

Następne trzy dni swojej włości po New Yorku spędzał malarz w ten sposób, że rano sprzedawał gazety na dworcu kolejki podziemnej, po południu zaś zajmował swoje stanowisko „junk-senta” przy automatach telefonicznych, oczekując na spieszących się i rozłargnionych rozmów gubiących drobne monety. Podczas obiadu w restauracji, w której posiłek kosztował zaledwie parę centów (była to jadalnia, w której wszyscy nędzarze za bardzo drobne sumy otrzymywali gorącą zupę) poznał się z rawnym, również bezdomnym włóczęgą. Był to człowiek niezwykle poczyty, gdyż widząc, że malarz rozpoczyna dopiero swoją wędrowkę bezrobotnego i bezdomnego, zaproponował mu swoją pomoc. Ponieważ Frank Haas przedstawił mu się jako poczytujący malarz, jego nowy znajomy zaproponował mu „fifty-fifty”, co znaczy spółkę. Spółka polegała na tem, że pewne podjęte przedsięwzięcie samochodu dowoził poszukiwało malarzy, którzy przemalowaliby cyfry i monogramy na samochodach. W tym wypadku najważniejszą rzeczą był kapitał zakładowy, czyli suma, którą należało wyłożyć na

kupno pędzla i farby. Te narzędzia pracy zakupione zostały z zarobionych przy sprzedaży gazet oraz ze znalezionych przy automatach centów. Praca szła składowo i po paru dniach Frank Haas stał się posiadaczem dużej sumy siedmiu dolarów. Niestety, okazało się, że w tym zakresie panuje szalona konkurencja i że istnieje w Nowym Yorku stowarzyszenie bezrobotnych malarzy, które zmonopolizowało to malarstwo automobilowe i wobec tego jednostki niezrzeszone, jeśli nie ustępują dobrowolnie z pola pracy, zostają poprostu obite i wyrzucone. Tak więc musiał malarz Frank Haas zrezygnować z malowania automobilów.

**HANDLARZ KRWIĄ**

Pozbawiony zarobku Frank Haas szukał w dalszym ciągu zarobku. Były to zarobki dorywcze. Sprzedawał gazety i programy zawodów sportowych. Pewnego dnia udało mu się znaleźć zaginionego pieska, za którego odprawienie dostał większą sumę 10 dolarów. Wkrótce jednak zaczęło mu się powodzić gorzej i pewnego dnia, kiedy dowiedział się, że jeden ze szpitali nowojorskich poszukuje człowieka, któryby ofiarował swoją krew do transfuzji, zgłosił się tam copędzej i ponieważ cieszył się dobrym zdrowiem, handlował swoją krwią. To przynosiło mu niezłe zarobki i w ten sposób dotrwał do końca miesiąca, zarabiając 25 dolarów. Wygrał wreszcie swój zakład. A jednocześnie przekonał się, jak ciężkie i okrutne jest życie człowieka, który znajduje się w wielkim mieście bez grosza w kieszeni.

## W obronie zapachu

Kuł pięknych woni

Powstało w Londynie towarzystwo posiadające bardzo wielu członków, t. zw. „Smell Society”, które ma na celu popieranie kultu pięknych woni, a dążenie do usuwania z miast zapachów przykrych, trudnych do zniesienia. W wydanej ulotce członkowie stowarzyszenia oświadczają, że jeśli dąży się do usunięcia z miast hałasu, który razi słuch oraz do ograniczenia zbyt jaskrawych światel, które źle działają na wzrok, w tym samym stopniu trzeba dbać i o zmyś powonienia, który narażony jest na nie-miłe emocje, wskutek panującego w mieście zaduchu. Stowarzyszenie to podjęło więc akcję, mającą na celu usuwanie z miasta przykrych woniających śmietników, u-



ła samą myślą o samotności i, ujrawszy się zdaleka, szepczą do siebie:

— Patrzcie i ten tu jest, a cóż za skądanie, no ale to nie szkodzi, będzie szesnasty do bridge'a.

— Ach i pan tu, w tych stro-nach? — mówią, poszukujące od-poczynku panie — wobec tego przyjdzie pan dziś na dancing na-moło.

Zdezorientowani znajomi snu-ją się po rybackiej wiosce w po-szukiwaniu jakichś „morskich” wrażeń. Przylapują ich często na posunięciach conajmniej nieopa-trzonych. Staryszkowie przebie-rają się w stroje dziecięce, w fry-musne czapeczki z fontaziem, ba-bunie przechadzają się po mi-asteczku w strojach marynarzy. Pewnego znajomego proboszcza przyłapałem wystrojonego w krótkie błękitne combinaison oraz turecki czerwony fez. Wielbny udał, że mnie nie widzi.

Nie mogąc ustalić właściwego sensu wyjeżdżania nad morze, po-stanowiłem uspokoić sumienie jed-nym zdaniem:

— Przyjeżdża się tu dla odpo-czynku! Tak, proszę państwa, nerwy! Nic tak nie wpływa koja-co na nerwy jak jednostajny łągo-dny szum morza.

Sugestywne to zdanie powta-rzam sobie, każdego ranka, gdy rozkołysany na nietrzeźwych no-gach wracam z hucznego dancin-gu do rybackiej izdebki.

— Nic tak nie uspokaja ner-wów, jak morze — morze wypitej kawy, wódek i likierów.

Wyjazdy nad morze mają jed-ną jedyną zaletę. Późniejszy te-mat do narracji. Zimą siedząc przy kuflu piwa u Trzaski w Za-kopanem można nizać dowoli błękitną nie wspomnień:

— Tak, proszę państwa, sta-wało nas do konkursu pływackie-go dwudziestu niedużo. Trasa Hel — Gdynia, nie było co. No, i udało mi się przepłynąć szczęśli-wie.

Albo:

— Nigdzie się tak dobrze nie nurkuje jak w morzu. Wiecie pań-stwo, że udawało mi się osiągnąć głębokość 20 — 30 metrów! Sam w to z trudnością uwierzyłem.

Piękne opowiadania można roz-wijać później w Zakopanem wśród zdumionych narciarzy.

Albo to później, w zimie. Trzeba jeszcze trochę poczekać.

Jur.

## Nie wolno mówić o zdradzie małżeńskiej w radio angielskim

British Broadcasting Company zakomunikowało wszystkim swoim speakerom 10 zakazów, do których pod grozą utraty pracy mają się stosować. A więc angielskim speakerom zabronione jest podczas wygłaszania programów radiowych: 1) wymienianie poza-działem ogłoszeń jakichś firm handlowych, 2) krytykowanie o-sobistości politycznych, 3) wyma-

wianie słów niemoralnych, 4) ro-bienie najmniejszych aluzji na te-mat ułomności ludzkiej, jak np. ślepoty, głuchoty, jakanie się, 5) pochwalanie pijaństwa, 6) atako-wanie religii i spirytyzmu, 7) mówienie o niewierności małżeń-skiej, 8) mówienie o nieuleczal-nych chorobach, 9) zło wyrażanie się o Chińczykach, 10) zło wy-różnianie się o murzynach.

## 36 milionów pasażerów w jednym miesiącu

W sprawozdaniu dyrekcji berlińskich żelazniczniczych kole-jo-dojazdowych za miesiąc czerwiec podana jest również liczba pasa-żerów, których koleje te przewo-ziły w miesiącu sprawozdawczym.

Okazuje się, że w ciągu tego je-dnego miesiąca przewieziono nie-mniej, jak 36 milionów pasa-żerów. W ciągu tego samego mie-siaca roku ubiegłego przewiezio-no 32 miliony pasażerów.

Antoni Marczyński

136

## Zemsta Hindusa

Powieść egzotyczna

Zatrzymawszy karawanę, łowczy zapytał Bahadur, którego lamparta ma wypuścić na to stado. On proponowałby „Siraję”, bo ten jest najlepiej ułożony i napewno nie poszarpie skóry czar-nego kozła.

— Nie, — wtrącił Dewadatta, — „Siraj” jest zbyt ociężały, ko-ziel gotów mu uciec zwłaszcza, że do dżungli tak blisko. Już ra-czej „Piorun”.

Od ich stanowiska do ściany lasu było blisko siedemset kro-ków, a dokładnie w połowie tej przestrzeni pasto się upatrzone stado. Narada nad wyborem lamparta trwała dłuższą chwilę, aż przerwało ją naiwne zapytanie sabwasa, który w tego rodzaju ło-wach brał udział po raz pierwszy:

— A czemu nie chcecie wypuścić wszystkich lampartów naraz?

— Świetna myśl! — rzekł Bahadur, ku niezadowoleniu łow-czego, który chciał kolejno zaprezentować swoich pupilów, jak praktykuje się zawsze. — Takich igrzysk nawet jeszcze ja nie widziałem.

— Więc puścić wszystkie naraz?

— Tak!

Dojeżdżając z koni, weszli na wozy i każdy ustawił się przy swojej klatce. Jak na komendę podnieśli płachty po pra-wej stronie wozów tak, aby lamparty miały widok jedynie na tę część stepu, która przyszykała do dżungli i by mogły dostrzec sta-do. Dostrzegły je ale nie zaraz, pierw musiały oswoić oczy ze światłem, gdyż dotychczas w klatkach panował półmrok.

Zosia wychyliła się trochę, bowiem ciekawość wzięła górę nad

odrazą, jaką żywiła do wszelkiego rodzaju łowów. Znajdowała się obok wozu, na którym stały klatki lampartów noszących imiona: „Nadzi” i „Giara”. Pierwszy rodowity birmańczyk był ceglasto rudy; drugi, złapany w Himalajach, miał włos znacznie jaśniejszy i dłuższy. Zresztą nie różniły się wcale; obydwaj przypominały bu-dową ciała bardzo wysokiego psa, któremu natura dała przez ja-kieś kaprysy mały, okrągły, koci łeb, obydwaj były nakrapiane czar-nymi centkami gęściej, niż pantera, obydwaj miały na karku i mię-dzy łopatkami coś w rodzaju grzywy, której zawdzięczają swoją nazwę w zoologii: Felis jubata.

— Już je spostrzęgl!

Żółtowny „Giara” nagle zeszytniał, sierść najeżyła mu się groźnie z oczu strzelały skry. Dojeżdżając szybkim ruchem pod-niósł prawe drzewiczki klatki. Lampart postąpił naprzód o krok, wychylił łeb, sprężył się zeskoczył z wozu i w olbrzymich susach pognął w stronę stada. W pięć sekund później wypadł z swojej klatki „Nadzi”, potem „Siraj” i cztery inne lamparty, a najpóź-niej ujrzał przyszyk do zdobyc chudy „Piorun”.

Narazie widok był przepiękny i zaśluziwał na nazwę lampar-cich wyścigów. Osem długonogich kotów z chyżością pociągu po-spiesznego pędziło w tym samym kierunku poprzez step. Trawa była miejscami tak wysoka, że ten, czy ów czworonożny zawodnik zniknął w niej, lecz na krótko; po chwili wynurzał się i znowu pruł zieloną toń stepu, podskakując, nieczem motorówka mknąca po sfalowanym morzu.

— Oneby jaskółka prześcignąć! — zawołał sabwas Paza-Xieng.

— Tego nie wiem, — odparł Bahadur, — ale ręczę, że najlepszy koń, ani najszybsza antylopa nie ujdzie pościgu lamparta.

— „Piorun” mija „Siraję”! — krzyknął Dewadatta. — A mó-wiłem, mówiłem!

Najwyżej sto kroków dzieliło pędzącego na czele „Giara” od stada, kiedy antylopy spostrzegły

do ucieczki, ale bynajmniej nie w rozpysce. Przeciwnie, rozpro-szone dotychczas stado w pełnym biegu zaczęło się skupiać, aż zbiło się w zwartą gromadkę, przyczem lanie wzięły kozły w śro-dek, jakby pragnęły je zasłonić własnymi ciałami. Czarny, broda-ty kozieł, wysforowawszy się naprzód o kilkanaście kroków, skre-cił w lewo, na wschód, za nim całe stado. Lamparty uczyniły to samo.

— „Piorun” mija „Nadzi”!

Wynik pościgu był zgóry przesądzony niestety. Z zatrważającą szybkością kurezyta się przestrzeń pomiędzy lampartami, a ucie-kającymi antylopami, zwłaszcza najmłodszymi, które zaczęły po-zostawać w tyle.

— „Giara” dopędza ostatnią!

Owszem, dopędził marudera, przewrócił go samym impetem, lecz nie zatrzymał się w biegu dla tak marnej zdobyczy i mknął dalej z wzrokiem wbitym w czarnego kozła. Inne koty były mniej wybredne. „Nadzi” upatrzył sobie najmniejszego kozła, wygodny „Siraj” poprzestał na łani, dalsze cztery lamparty postąpiły podob-nie i wśród śmiertelnej ciszy rozległo się żałosne beczenie mordo-wanych ofiar. Pogoni zmniejszyła się o sześć lampartów, stado o sześć sztuk, pozostałe rozbiegły się na wszystkie strony. Tylko wódz rozbitego stada zmykał dalej w tym samym kierunku ściga-ny przez dwa najlepsze lamparty.

— „Giara” go dostanie, idę o zakład, — rzekł Niszi.

Łowczy był innego zdania. W górzystym terenie „Giara” trium-fowałby napewno, lecz na takiej równinie jego przydługie zadnie nogi są mu raczej przeszkodą i dlatego należy przypuszczać, że zwycięży „Piorun”.

— Albo żaden, — odezwał się Bahadur, — te krzaki, widzicie? Awangarde dżungli tworzyły kępy krzaków tu i ówdzie rozlane po stepie, a kozioł biegł właśnie ku największemu skupisku krze-wów. Niebawem zniknął z oczu widzom, a za nim obydwaj lam-party.

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.63 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.54 (miejsczynastowy). Sekre-tarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedzieli i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Z rząd 691 64; Prenumerata 691 66. Wydział ogłoszeń 691 56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny: — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDRUKOWAŁ: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cypkanka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miesięczna (z dośrodkowaniem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

**Ceny ogłoszeń:** za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-ty (na wszystkich stronach po 6 szpal): na 1-ej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 60 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne — (Kom.). Za terminy druku ogłoszenia Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, te 691 56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.